Rok I Warszawa, 31 Grudnia 1921 r. Nr. 11

MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POLITYCZNO-SPOŁECZNY

TREŚĆ NUMERU.



Cena 40 mk.

Redakcja i Administracja: Kopernika 23. II piętro.
Redaktor i wydawca: I. O. GRABOWSKI.
Godziny przyjęć codziennie od 4—6 prócz niedziel i świąt.
Telefon Nr. 91-76.

BÓJ Z POLSKĄ

Rzuciwszy myślą wstecz, widzimy dziwne zjawisko w naszem życiu narodowem: my robimy wszystko, aby stanąć w poprzek naszemu rozwojowi państwowemu, a historja z nas się śmieje i posuwa nas ciągle naprzód. Jest jakiś plan—poza mózgami naszych urzędowych polityków — który się mimo naszych błędów realizuje. Prawda, że są też ludzie, uświadamiający sobie należycie ów plan, ale ci ludzie usuwani są przez sfery oficjalne w cień, ich głos, z braku urzędowej aprobaty, nie ma mocy decydującej.

A mimo to Polska kształtuje się nie tak, jakby chcieli ci, co nią rządzą, ale tak, jak wymaga tego istotne dobro narodu. Widocznie imanentna siła rozwoju silniejszą jest nad doktryny mózgowe, a życie samo koryguje fałszywe posunięcia naszych mężów stanu. Nieszczęśliwi statyści przegrywają na całej linji, jedynym rezultatem ich akcji jest opóźnianie i częściowe wykoszlawianie planu, nakreślonego nam przez Opatrzność, a realizowanego przez wypadki dziejowe.

Dla ilustracji przypomnijmy sobie parę faktów.

W ciągu wojny „urzędowa Polska" była w N. K. N. i legjonie zaprzysiężonym Austrji. Robiono wszystko, by nie dać się zrosnąć trzem zaborom, by stworzyć nie wolną i zjednoczoną Polskę, ale jakiś „kronenland" austrjacki czy pruski. Nazywano to trzeźwem myśleniem, realną polityką, a tymczasem okazało się najzwyklejszą bańką mydlaną, wydmuchaną przez stańczyków krakowskich, a podchwyconą przez lewicę dla olśnienia nią gorącej choć bezkrytycznej młodzieży. Zrealizował się plan inny, wręcz przeciwny marzeniom socjal-konserwy krakowskiej. Lecz mydlana bańka pozostawiła po sobie pewne męty w duszy narodowej, stała się tryskiem zimnej wody na uczucia przyjaźni, żywione względem nas ze strony państw zachodnich i obcięła nam część Śląska Cieszyńskiego na rzecz Czechów. Wyrok bowiem w sprawie cieszyńskiej spowodowany był nie słusznością, lecz sentymentem koalicji względem Czechów, którzy nie mieli legjonów austrjackich.

W sprawie ukraińskiej starły się też dwie potęgi: wola czynników rządzących i interes narodu. Interes narodu znowu zwyciężył, lecz musiało się niepotrzebnie rzucić na szalę dużo krwi ofiarnej.

W roku przyszłym jeszcze raz przyjdzie między temi dwoma czynnikami do walnego starcia o Wilno. Jesteśmy pewni wyniku, tylko trudno jeszcze z góry obliczyć, czem opłacimy ten bój pomiędzy Polską, a człowiekiem, który nie wahał się otwarcie przecież powiedzieć, iż ma wrażenie, iż walczy... z Polską.

My o tem wiemy doskonale. Patrzymy się całe lata na ten bój i dziwimy się uporowi człowieka, który tylekroć pokonany przez Ducha Narodu, nie chce się uznać za zwyciężonego, lecz z pod swych marsowych rzęs spogląda, kiedy też Polska legnie u stóp jego doktryny.

D-r S. Ka—ski.

NARODZINY OPINJI

Pod powyższym tytułem powitał w syonistyczno-bolszewizującym „Naszym Kurjerze” poseł S. Hirszhorn prezent gwiazdkowy dla Belwederu, jaki pod formą odezwy do Narodu wystosowało grono osób z inteligencji ongiś filogermańskiej zwabiwszy jednak do podpisania cały szereg ludzi dobrej woli, obywatelskiego sumienia i nienagannych patrjotów, atoli zbyt pochopnie podpisujących się pod każdym protestem i każdą odezwą. Apel inteligencji „grożącej że jeżeli stosunki się nie uzdrowią, to oni usuną się z polityki” nosi hygieniczny tytuł „O uzdrowienie stosunków“. Bardzo słusznie. Wiele bardzo słusznych i rzetelnie potrzebnych admonicji zawiera w sobie odezwa na które każdy, komu zależy na wyleczeniu Polski z korrupcji ludowców, z bandytyzmu wyzwoleńców, z nepotyzmu w wojskowości, z szarlatanerji pepesów z chamszczyzny w polemikach, z napadów na redakcje i t. p. meksykańskich metod i manier, każdy, każdy bez wyjątku bezwarunkowo się zgodzi. Tego rodzaju odezwy, bardzo chlubne i szlachetne w intencji są już atoli tylko przeżytkiem z czasów dawnych, kiedy to co jakiś czas zbierano t. z. „protesty“ w głębokiem przeświadczeniu (niepozbawionem megalomanji), że tego rodzaju odezwa zawsze „wstrząśnie” społeczeństwem i wszystko co złe naprawi. Obywatelom podpisującym daje to wiele satysfakcji moralnej i poczucia spełnionego obowiązku, uwalniając zarazem często od dania jakiejś drobnej składki na jakiś cel narodowy. Od lat 30 istnieją pewne nazwiska, które powtarzają się stale na wszystkich „protestach“; w ten sposób też przypominają się i polecają łaskawym względom publiczności często znakomitości polityczne in partibus infidelium.

Pod ostatnią odezwą podpisani są w dość pokaźnej liczbie rozmaici panowie, którzy szczególnie często podpisywali się za czasów ś. p. poliorketesa Beselera. Widzimy tu więc p. Bukowieckiego, Kucharzewskiego, majora Dziewulskiego zaraz obok A. Natansona, Z. Krzywickiego, Mikułowskiego-Pomorskiego, R. Radziwiłłowicza (nie potrzebnie zawsze wciągającego do podpisywania Stef. Żeromskiego) dalej pana Smiarowskiego, Supińskiego, namiętnie zawsze podpisującego się melancholijnego karjerowicza p. Artura Śliwińskiego, dalej zięcia beselerowskiego A. Zawadzkiego i wielu innych figur zgoła przypadkowych, których podpisy nic nikomu nie mówią, nikomu nie zaimponują. W bezceremonjalny sposób demaskuje „Gazeta Warszawska” chytre intencje i mętne źródełko, skąd wypłynęła inicjatywa tej odezwy, przestrzegającej przed „wciąganiem w odmęty walki imion i instytucji reprezentujących pierwiastki samodzielczę (?) i zwierzchnictwa narodowego“. Tym, co za kulisami zespół ten skonstruowali, tym Dziewulskim i Natansonom, Radziwiłłowiczom i Massohnom, którym udało się wciągnąć w pułapkę nazwiska

Kochanowskiego, Balińskiego, Koskowskiego „nie chodzi o formę, to by nie warte było ich fatygi a chodzi im o rzecz *aby ustała krytyka przeszkadzająca fałszować dzieje*" dalej, aby ustała krytyka fałszywej, złej, przewrotnej podstępnej polityki belwederskiej rzucająca nas już za panowania obecnego Naczelnika lub zaraz po nim w objęcia centralnej Europy germańskiej. Zakneblować usta opozycji, po wysłaniu na banicję Paderewskiego, po unieszkodliwieniu Dmowskiego, po przepędzeniu Dowbora, po spensjonowaniu Iwaszkiewicza, po wycofaniu Żeligowskiego, po usunięciu Korfantego, po zbezczeszczeniu Trąmpczyńskiego, po zbojkotowaniu całego obozu ententowego, po pobiciu Zamorskiego i Sadzewicza, wszystko poobsadzać germanofilami i enkainitami, poczem już swobodnie zerwać z Francją z Rumunją z Czechami a nawiązać starą nie rdzewiejącą przyjaźń z Berlinem, oto cel do którego zmierzają ci, którzy stoją za kulisami „aranżerzy" gwiazdkowej encykliki 45 omal nie czterdziestu czterech. Dziwnym zbiegiem okoliczności odezwa Massohnów i Natansonów, Pomorskich i Radziwiłłowiczów, do której niebacznie dali się wciągnąć p.p. Baliński, Koskowski, Kochanowski i inni schodzi się chronologicznie z wygryzieniem z Polski jen. Niessela. Stoimy przed nową serją „eksperymentów" politycznych dzikiego ryzykanctwa, podpieranego przez wielką ligę analfabetów, żydów i germanomanów. Stoimy w momencie, kiedy na widownię polityczną wchodzi z powrotem 170-miljonowa Rosja.

Jeżeli odezwa Natansohnów i Massohnów ukraszona i umilona kilkoma nazwiskami z obozu narodowego ma na celu zakneblowanie ust opozycji walczącej, z awanturnictwem i z anarchją, to chyhiła celu. Ani historji, ani polityki fałszować nie damy. Większość nazwisk podpisanych na odezwie wzbudziła największą nieufność w społeczeństwie i w opinji do tej odezwy. Piękna i słuszna przeważnie w treści niesie w sobie gwiazkowa encyklika germanomanów właśnie zalążki partyjnictwa. To nie jest droga do union sacreé.

KOHNKORDANCJA

Wychodzące we Lwowie żydowsko-bolszewizujące, ukrainofilskie i zacięcie wrogie polskości pismo „Chwila", zamieszczając dłuższy artykuł o napaściach niedawnych na redaktora Sadzewicza, posła Zamorskiego i wynikających stąd aferach i zaznaczając uroczyście że najwięksi nieprzyjaciele(?) żydów są równocześnie największymi nieprzyjaciełami(?) głowy państwa tak pisze o tem:

„Taka to istnieje w Polsce przedziwna konkordancja! Obecny Naczelnik Państwa Polskiego nie jest coprawda antysemitą (na to jest człowiekiem zbyt godnym, szlachetnym, sprawiedliwym i wielkim), ale też bynajmniej nieprzyjacielem żydów. Skąd więcowa *kohnkordacja?* W czem tkwi jej przyczyna? Odgadnąć nie trudno. Piłsudski — szczery demokrata i żywy symbol demokracji polskiej — i żydzi są kamieniem obrazy

reakcji w Polsce. Przeciw nim będzie reakcja tak długo walczyła aż — albo Piłsudskiego obali a żydów politycznie i gospodarczo zgnębi „albo— sama zostanie pokonaną"...

Tyle Chwila. Tertium non datur. Wszystko co jest nieprzyjacielem żydów" czyli wszystko co walczy z pansemityzmem to „reakcja". Wszystko co otwiera dla żydostwa wszystkie upusty i stwarza Judeo-Polskę to „szczera demokracja".

„Chwila" stwierdza tem kohncordat, jaki zawarty między żydostwem a głową Państwa! Ale skąd w takim razie ciągłe gorzkie żale na dzielne wojska alljantów Bałachowicza, czy Petlury, czy Tiutiunnika lub Hołyj-Hulaja?

ZZA KULIS NASZEJ DYPLOMACJI

ZACZAROWANY MUR.

Należy to już do rysów charakterystycznych władzy, że często lubi otaczać się nimbem niedostępności. Niedostępność bowiem znakomicie wzmaga respekt, respekt odsuwa na przyzwoity dystans niepotrzebne zakusy na zasadę nieodpowiedzialności, ta zasada ułatwia spokojną pracę we własnem, dobrze dobranem kółku, a tego rodzaju swobodne warunki pobytu na urzędzie asekurują radykalnie od wszelkich niedyskretnych pytań o wartość, metody i ukryte cele pracy.

Że władze polskie częściej i powszechniej pociąga urok tego nimbu, to rzecz nad wyraz naturalna; bo i temperament ku temu ciąży i niezbyt kompetentny skład znacznej części naszych dygnitarzy w tym nimbie jedyną znajduje asekurację uratowania się przy urzędowem bytowaniu.

Tembardziej zaś rzecz naturalna, że najdoskonalsze zastosowanie system nimbu znalazł u nas w Ministerjum Spraw Zagranicznych, tej perle władz naszych, jeślibyśmy je porządkować chcieli wedle miernika w poprzedniem zdaniu wyrażonego.

Minister jest przeważnie mytem, legendą, a legendarność ta spływa częściowo i na innych z dygnitarzy, tak, że poza pewnymi wyjątkowymi wypadkami każda osoba znajduje w pewnym punkcie swej wędrówki ku zetknięciu się ze szczytem władzy spotyka zagradzający jej drogę—tajemniczy mur. Mur ten z wersalską grzecznością przyjmuje na siebie cały ciężar dalszego kontaktu z przepracowanym dygnitarzem, z tą samą wersalskością komunikuje po pewnym czasie jego odpowiedź, umie w sposób przemiły zawsze obiecywać na początku, prawie zawsze odmawiać na końcu, zawsze bezosobisty, bezstronny, jaknajżyczliwszy, jaknajniewinniejszy, cudze tylko komunikujący wyroki.

— Cóż? jabym bardzo... ale: pan minister uparł się...

Refren stały. Czy o osoby chodzi czy o sprawy. Refren niezmienny. I jedna rzecz tylko w nim zastanawia: jest w nim pewna stała, konsekwentna linja, której rysunek, coraz śmielszy i wyrazistszy, czas stopniowo coraz bardziej uwypukla. I rzecz druga znamienna: że zmieniają się osoby szefów, zmieniają cha-

raktery i zapatrywania, ale nie zmienia się tenor tego, czem w ich imieniu dźwięczy mur tajemniczy. Zawsze pewne niezłomne veta, pewne niewzruszalne sympatje i antypatje, zawsze te same.

Tak, że u profanów zjawia się czasem myśl: czy mur rzeczywiście cudnym głosem rozbrzmiewa, czy też własną nutą? Zwłaszcza, że niejedno qui pro quo życia codziennego wykazuje kompletne nieobeznanie szefa z kwestjami, w których jego nieodwołalne wyroki tak mocnem echem mur oddzwania.

Dlatego nie od rzeczy jest przyjrzeć się zjawisku nieco bardziej zbliska.

Mury zaczarowane różnych bywają stopni, ale jest wśród nich główny, samego otaczający sternika naszej dyplomatycznej nawy. Zmien ła się tu parokrotnie sylwetka osoby, na nim wymalowanej, nie zmienił nigdy charakter. Cegła jest wciąż tego samego gatunku i z tej samej fabryki.

Obecnie rolę muru spełnia od dłuższego czasu p. Kajetan Morawski, wicedyrektor departamentu polityczno-dyplomatycznego.

Kto on? Człowiek młody, przed wojną nieznany. Że w jej czasie był zdecydowanym aktywistą, nie trzeba mówić: czyżby w innym wypadku mógł zajmować tak wybitne miejsce pośród naszej dyplomacji? W ciągu wojny p. Morawski doskonale organizował towarzystwo niemiecko-polskie w Berlinie, a w czasie okupacji Królestwa był urzędnikiem okupacyjnym, w któremś z miast prowincjonalnych.

Nast ły jednak czasy zaostrzonego flirtu polsko-niemieckiego. Bethmann-Hollweg, przy pomocy masoństwa z jednej, beselerowskiego aparatu z drugiej strony, wyprawił się na podbój duszy polskiej i stronników dla swych planów, począł jednać nie tyle czapką, co papką i solą. I oto p. Morawski zjawia się nagle w Warszawie i wstępuje do centralnej kuźni polskiej dyplomacji w samych pierwszych jej początkach, za kowalostwa Ronikiera.

Odtąd pozostaje tam stale, pnie się ze szczebla na szczebel, jako naczelnik wydziału należy już do grona najzaufańszych powierników ks. Sapiehy, jako wicedyrektor departamentu politycznego, wzmaga się we wpływy za jego obecnego następcy. Właściwy dyrektor departamentu, p. Zaleski, trzyma się często raczej w cieniu, na pierwsze miejsce coraz bardziej wysuwany jest p. Morawski. Jest to tak niebaczne, że aż zastanawiające.

Boć że coś się kryje za tym murem, coraz wyższym i przez to do obrony coraz wygodniejszym, to dla wtajemniczonych oddawna już nie jest tajemnicą. Rzeczą jednak ciekawszą byłoby sprecyzować, kto siedzi za murem i używszy go jako parawanu wystukuje swoją melodję. Bo melodja jest do złudzenia ta sama, co była i przed p. Morawskim, a choć dobre jego nazwisko i pochodzenie z rasy polskiej pełnej krwi dobrze go kwalifikuje do dekoratywnego stanowiska, chociaż ambicja trzyma silnie na zajętym gruncie i pędzi w górę, opinje i wyroki jego, rzekomo od ministra tylko powtarzane, zupełnie skądinąd zdaje się pochodzić.

Skąd? Byłaby to ciekawa rewelacja. Gdyby tak np. Ministerjum zechciało ogłosić spis imienny dyplomatów, powygryzanych ze służby czynnej. Albo zestawić, ilu jeszcze ostatnich Mochikanów z rodzaju tych, którzy nie zachwycali się Roniklerem i Studnickim, zdołało się jeszcze utrzymać do czasu przy ul. Wierzbowej? Albo stosunek procentowy: ilu z okazji redukcji personelu urzędniczego zlikwidowano chrześcijan, a ilu żydów?

Byłoby to bardzo ciekawe...

Spectans.

PUSTE ORZECHY

NA ROK PAŃSKI 1922.

Życzymy:

Wszystkim drogim rodakom: taniego chleba, taniego mięsa, taniego mleka, tanich jajek, tanich spodni, gdyż są to palladja wolności.

Obywatelom: mniej mówek i blagi, więcej cywilnej odwagi.

Młodzieży: szukać rozumu nie w Rogowie, lecz w głowie.

Posłom sejmu suwerennego: rozwiązanie swego związku zawodowego i rozjechania się ad *rura*.

Specjalnie Piastowcom: powrotu Piasta.

Wojskowym: dużo ćwiczeń, gazów, balonów, planów, mniej Napoleonów i Kohnów.

Łodzi p. ministra Michalskiego, aby nie rozbiła się o kamienie podwodne.

Wilnu i Liwie: lepiej z Bogiem, niż z Mendogiem.

Żydom: schwytanie na Wiśle, przy Saskiej Kępie, koszyka z Mojżeszem, aby nareszcie wyprowadził ich z Faraonji do ziemi Esperanto.

Dzieciom: pełnych, jedrnych orzechów.

Dziadek (*O. I. Grabowski*).

„BRACIA STAROZAKONNI“ W R. 1848

Nie byłoby doprawdy rzeczą dziwną, gdyby w tych burzliwych czasach były zaszły w Poznańskiem jakie gwałty na skórze żydowskiej, zwłaszcza, że żywioł ten, jak zobaczymy później, mnogie dawał do tego przyczyny. Byłoby zrozumiałe, gdyby w rozprzężonych stosunkach jaki chłop lub mieszczanin był zrabował karczmarza lub poturbował lichwiarza. Aczkolwiek przestudjowałem bodaj wszystkie druki polskie i niemieckie, odnoszące się do tej karty dziejów, nie znalazłem jednak nic, co wskazywałoby na nieszczerość wzmiankowanej odezwy, lub na jakąkolwiek zaczepność i nieprzychylność ze strony polskiej względem żydów, aż do chwili, gdy fizjognomja żydowska nie ujawniła się wyraźnie.

W istocie można było oczekiwać jeżeli kiedykolwiek to wówczas, że żydzi na polskiej ziemi i z polskiego ludu żyjący pochwycą skwapliwie wyciągniętą do siebie tak serdecznie rękę, odsuną się od Niemców, przejdą na stronę dominujących i okażą się, jak marzył Libelt, braćmi Polaków.

W ciągu tych kilkunastu dni, w których Polacy piastowali w Poznaniu bezspornie ster spraw, nie zaszło nic, z czego dałoby się ukuć broń lub akt oskarżenia przeciwko nim. Przeciwnie, Polacy manifestowali swe braterskie względem żydów uczucia. „Zorganizowana przez Komitet straż obywatelska, — pisze dr. J. Rakowski w Powstaniu Poznańskiem r. 1898 — której jedyną odznaką była biała przepaska na lewem ramieniu, utrzymywała miasto we wzorowym porządku. Kontrolowała szynki i nakłaniała do porządku. Gdy wskutek pierwszego popłochu zaczęli się wynosić niektórzy Niemcy z Poznania do Głogowy, Berlina, Wrocławia i Szczecina, opisując w przesadnych barwach rzekome gwałty Polaków, z prowincji jęły napływać do Poznania tłumy niemieckich mieszkańców Księstwa, przestraszonych zmianą porządku rzeczy i podawali do wiadomości wręcz nieprawdziwe fakty, jako autentyczne przykłady gwałtów polskich. Po dokładnem zbadaniu okazało się w najpoważniejszym wypadku, iż w pewnej wiosce chłopi nastraszyli kramarza żydowskiego, że teraz i on będzie musiał z kosą w ręku zaciągnąć się w szeregi i bronić ojczystej ziemi“.

„Brat starozakonny“ przeraził się tej perspektywy tak, iż rozkrzyczał na wsze strony: gwałt! Ale niebawem dzięki usiłowaniom Komitetu ludność niemiecka i żydowska nabrała przekonania, że niema się czego obawiać i kupcy pootwierali swe składy.

Tak było w dniach hegemonji Polaków. Gdyby żydzi a zwłaszcza żydowscy radni miasta Poznania byli, nie ograniczając się na konwencjonalnem podziękowaniu, zbliżyli się do Komitetu Narodowego, stanęli na polskim gruncie, niema kwestji, że Polacy w swem idylicznem usposobieniu byliby im pohopnie przyznali znaczny udział w rządach. Lecz żydzi zajęli stanowisko wyczekujące, germanofilskie, skoro tylko Prusak, raz jeszcze łamiąc swe zobowiązania, podniósł broń przeciwko Polakom, skoro zadźwięczały kosy i padły strzały, ujawniło się oblicze żydów i — prysły mrzonki o braterstwie z nimi.

Nietylko okazało się to utopją, nietylko żyd podanej mu w tak szlachetnym porywie ręki nie przyjął, ale na sentymentem ogółu zatwierdzoną Odezwę Komitetu dał wnet taką odpowiedź, która głęboko rozczarować musiała idealistów i cały ogół. Bo żyd wystąpił na arenę jako wściekły wróg Polaków i jako czynnik rozkładowy, jako spiritus movens fermentu społecznego i jako „kłamstwem wojujący herold rewolucji“.

Jak zachowywali się żydzi wobec tych, z których żyli, których krew ssali, a którzy w nieporównanym akcie wspaniałomyślności, uznali ich za braci?

Widzieliśmy już, że zaraz w pierwszych chwilach, utożsamiając swą sprawę z niemiecką, starali się szkodzić Polakom i rządy ich zniesławić, wszczynając przez kłamliwe pogłoski rwetes i szerząc popłoch. A niebawem zionęła od nich iście wściekła nienawiść i, skoro Prusak wziął górę, dopuszczali się tak haniebnych, podłych czynów, że żaden naród nie przebaczył by ich, a każdy wyciągnął z nich naukę po wsze czasy.

Nikt na skórze by nie spisał tego bezmiaru nikczemności, rozwydrzenia i orgji, jakie wylały się ze strony żydów na Polaków. Musiały to być wybryki niesłychane, szczególnie ohydne, jeśli nawet wśród Prusaków spotkały się z potępieniem.

Ograniczę się na kilku przykładach ilustrujących wybryki antypolskie tych żydów i nie będę zatrzymywać się przy względnie tak błahych faktach, jak ten, że żydzi i Niemcy palili w Poznaniu kokardy polskie wśród dzikich okrzyków radości i zmuszali włościan, którzy je nosili, do zjadania ich „na śniadanie".

Gdy przez ulice Poznania prowadzono garstki jeńców polskich, żydostwo ciskało się na nich w furji, policzkowało ich, plwało, darło na nich odzienie w szmaty i wręcz życiu ich zagrażało tak, iż żołnierze pruscy stawali w obronie napastowanych.

Zaszedł nawet klasyczny wypadek, że wielki wróg Polaków w Poznaniu, meklemburski baron Kolbe von Schreeb wskoczył na wóz, na którym siedział więzień stanu i osłonił go własną piersią przed wybuchami rozwścieczonego motłochu żydowskiego. Wspomina o tem Hans Schmidt w cennem dziele: Die Polnische Revolution des Jahres 1848, nadmieniając, że w ten sposób uratowano kilka członków Komitetu polskiego przed zlynczowaniem.

Weszło w zwyczaj żydów w miasteczkach, że poili wódką landwerzystów pruskich i namawiali ich do podpalania dworów polskich. A po potyczce w murach Trzemeszna, gdy powstańcy ukryli się w zaroślach nad jeziorem, żydzi wywlekli rannych i mordowali w swych mieszkaniach.

„Na ulicach Poznania — opowiada historyk Jędrzej Moraczewski (Powstanie Poznańskie r. 1848) — żydki z puchem na brodach, przedzierzgnięte w głębokich polityków, krytykowały rzekomą łagodność rządu pruskiego względem Polaków, a gdy się jednemu lub drugiemu to i owo nie podobało, wołał zaraz: „na to pozwolić nie mogę, pójdę do gen. Colomba!" I jenerał, komenderujący wojskiem niemieckiem, przyjmował ich, przyjmowali ich inni wojskowi i tłumaczył się przed nimi pokornie pierwszy pełnomocnik naczelnego prezesa, że wcale nie pobłaża Polakom, lecz jak tylko może prześladuje ich z duszy i serca. Żydzi ci — zwłaszcza po zwycięskiej dla oręża polskiego bitwie pod Miłosławiem — bili księży, kobiety i dzieci polskie."

W czasie potyczki w Buku zdarzyło się że padło od kul kilku żydów. Za to biorąc odwet, żydzi po mordowali Polaków w chlewach a jedną starą kobietę, w łóżku". „Nazajutrz — opowiada historyk — dn. 5 maja Prusaki pobrali trupy na wozy

i ruszyli ku Poznaniowi Żydzi wiedząc, czego teraz bez opieki bagnetów spodziewać się mogą, opłacili się kolonistom niemieckim i w długiej karawanie wieźli swe trupy, rannych i swe dzieci za wojskiem".

Na ich widok, w Poznaniu „wśród dzikich jęków i krzyków temu tylko ludowi właściwych sypnęli się żydzi poznańscy, porozbierali tych „męczenników" do domów. A wzburzenie umysłu bardziej jeszcze w sobie rozdraźniwszy, zamienili na zupełną wściekłość przeciw wszystkiemu co tylko uważali za polskie. Otoczono dom „Bazar" jako patrjotyczny zakład handlowy polski, aby go zburzyć, pod pozorem, że w nim pochowano broń".

„Wszechwładne wydawali rozkazy: imaj mi natychmiast tego!" i niebawem policjami lub żandarmami prowadzili wskazanego im przez żydów do aresztu. Tymczasem inne żydostwo przypadało z boku, wołając, że to wielki buntownik być musi, plwało w twarz prowadzącego, darło go za włosy i brodę, biło, ciskało kamieniami i tak na wszystkich ulicach ujrzeć było można człowieka, najczęściej szlachcica zbroczonego krwią wśród siepaczy z poobijanemi w mosiądz szyszakami, a dalej naokół twarze żydowskie z wyrazem dzikości i szaleństwa i ramiona i kije migające nad jego głową".

„Za przykładem Poznania postępowano tak samo po całym kraju" — zapewnia Moraczewski i dodaje, że nawet w Lipsku na jarmarku żydzi z Księstwa napadali na Polaków.

Maciej Wierzbiński.

AMBASADOR A KAZNODZIEJA

„Ubiegłej Wielkanocy na wieczorze rytualnym u (zmarłego niedawno) kaznodziei warszawskiej synagogi (w jego mieszkaniu 'prywatnem) był między innymi gość, który tak łatwo nie odwiedza nikogo. Tu zaś sam się zaprosił, żeby zobaczyć ten rytuał. Był to ambasador Wielkiej Brytanji, Dr. Maks Müller ze swym sekretarzem".
(„Najer Hajnt", d. 23 grudnia 1921 r.)

My także, „nieproszeni", chcemy służyć p. ambasadorowi wiązanką wyjaśnień dotyczących tego rytuału. Są to wyjaśnienia, napewno ani jemu, ani narodowi polskiemu nieznane.

Tego tylko nam zapewne nikt nie wyjaśni, dlaczego p. ambasador czekał z „zobaczeniem tego rytuału" na Warszawę, kiedy co rok tak samo się go odprawia w Londynie, który ma też swoje Nalewki w postaci Whitechappelle.

P. ambasador wie oczywiście, że istnieje „London Jews Society"; jest nawet oddział jego w Warszawie. Jest to towarzystwo „żydów-chrześcjan", towarzystwo idealistów łożących zna-

czne sumy na propagandę bezinteresowną, aby żydzi uznali Chrystusa, nie przestając być żydami pod wszelkiemi innymi względami. Z Polską i polakami, ani katolicyzmem, Tow. to nie ma nic wspólnego.

I właśnie w Anglji Towarzystwo owo wydało olbrzymi tom o blisko 800 stronicach p. t. „Drogi Odwieczne“ (po hebrajsku „Nesywot Olom“) w celu skarcenia żydów za ich bezustanne szerzenie nienawiści do wszystkich „gojów” z całego świata.

Wyjątek potwierdzający regułę, stanowią gwałtowni filosemici, nazwani „chasydami” gojowskimi („Chasydzi Umos Haolom“).

I oto w tem dziele teoretyczno-polemicznem, *wydanem w Anglji*, i następnie w żargonie jeszcze za czasów okupacji rosyjskiej w Warszawie, — poruszono także sprawę szerzenia nienawiści do „gojów“ przez żydów, między innemi właśnie także podczas tego rytuału, na którym p. ambasador był obecny. Podkreślamy, że piszą to „żydzi-chrześcianie“, będący wybitnymi filosemitami.

Zwracają oni uwagę na ustęp ceremonji, której p. ambasador był świadkiem i która ma coś wspólnego z... Traktatem Wersalskim.

P. ambasador zauważył zapewne, że w pewnej chwili tego obrzędu nocnego, otwierają drzwi do sieni i „przy otwartych drzwiach“ coś mówią po hebrajsku.

W XVI rozdziale wspomnianego dzieła „żydzi-chrześcianie“ oburzają się na te słowa, które opiewają:

„Wylej swój gniew na narody (dosłownie po hebrajsku: „goim“), które Ciebie (Jehowy) nie uznają, i na państwa, które nie wzywają Twego Imienia, bo pożarły Jakóba (synonim Izraela), a jego siedzibę spustoszyły. Wylej na nie swą złość, a żarliwy gniew Twój niech je ściga. Prześladuj w gniewie i wytęp je z pod niebios“.

W tymże rozdziale owego dzieła przytaczają ustęp z modlitwy, jaką żydzi wygłaszają nazajutrz po owej ceremonji, podług przekładu żyda angielskiego Lewi, w części IV, str. 142 jego modlitewnika:

„Proszę, słuchaj (Jehowo) krzyku Twych ciemięzców i ich wzburzenia. Nasyć glebę ich krwią, a ziemię gnój ich tłuszczem i niech się rozchodzi smród z ich ścierwa“

Żydzi usiłują to tłumaczyć „wobec gojów“, że mowa tu jedynie o poganach. Lecz po pierwsze są niezbite dowody że żydzi w swych modłach dzielą świat na dwie części: żydów i nieżydów, do których i chrześcianie należą naturalnie. A powtóre, my, chrześcianie, uważamy także pogan za — ludzi i wcale ich nie przeklinamy.

A więc p. ambasador u kaznodziei tylko „widział“ ceremonję, ale jej nie „słyszał“.

Może teraz usłyszawszy o tem, pomyśli sobie, że jednak ludziom, tak się modlącym, nie można powierzyć władzy nad „go-

jami" i że nawet autorowie Traktatu Wersalskiego, jakby proroczo, wyraźnie zastrzegli, że nadane wolności nie obowiązują, gdy to się sprzeciwia „dobrym obyczajom".

Z tej klauzuli narody „gojów" dotąd nie skorzystały w stosunku do żydów. Dlaczego?

Żor-żor.

LISTY DO REDAKCJI

Działalność antypaństwowa a nieprawomyślność.

Coraz częściej się zdarza, że my narodowcy oskarżani bywamy o wystąpienia przeciwpaństwowe i to nie tylko przez zaprzyjaźnionych entuzjastów Belwederu, lecz i przez różnego autoramentu polityków fachowych i domorosłych, którzy z upodobaniem chlubią się mianem „bezpartyjnych".

Najbardziej znamiennem, a zarazem ze źródła najbardziej autorytatywnego pochodzącem, oskarżeniem takiem z czasów ostatnich jest to, które na konferencji u p. Marszałka padło z ust ministra Spraw Zagranicznych naszego obecnego pozaparlamentarnego gabinetu, bezpartyjnego p. Skirmunta: według relacji „Kurjera Polskiego" miał on się tam wyrazić, że „Gazeta Warszawska", „Gazeta Poranna" i „Rzeczpospolita" rozwijają zapewne mimowolną, ale głęboko antypaństwową działalność. Lecz nie trudno by było przytoczyć i cały szereg innych enuncjacji o pokrewnej treści, pochodzących również z kół t. zw. bezpartyjnych.

Otóż nie ma bynajmniej, zdaniem mojem, potrzeby podawania w wątpliwość szczerości i dobrej wiary wszystkich podobnych, tak na pozór niepojętych, tak wprost zdumiewających oskarżeń, aby je sobie w sposób zadawalający wytłómaczyć: wystarczy najzupełniej w tym celu głębiej wejrzeć w psychikę oskarżycieli samych. Gdy się im bowiem baczniej przyjrzymy, dojdziemy niechybnię do stwierdzenia faktu, że w przeważnej większości są to ludzie, na których skutkiem różnorodnych przeżyć i oddziaływań, na jakie w ciągu życia swego byli wystawieni, państwowa kultura rosyjska niezatarte wycisnęła piętno. Dostrzeżemy łatwo, że w umysłowości ich utkwiło głęboko pewne pojęcie, które było jednym z najcharakterystyczniejszych współczynników ideowych, kształujących stosunki wewnętrzne państwa carów, pojęcie, które dla przeciętnego „wiernego poddanego" dawnych dobrych czasów zastępowało nie tyko ideę prawności, legalności, lecz także ideę patrjotyzmu państwowego, (patrjotyzmu narodowego nie znał on zgoła,) — pojęcie „błagonadieżności". A „błagonadieżnym" był w Rossyi przedwojennej przedewszystkiem ten, kto stale szedł w kierunku przez „władze wyższe" pożądanym, ani na krok nigdy od niego nie zbaczając, ten, czyj sposób myślenia i zachowania się najdokładniej odpowiadał zamierzeniom i tendencjom owych władz i skutkiem tego w ich oczach niezmiennie łaskę

znajdował. Lecz po zatem w określeniu tem tkwiło i pewne pojęcie patrjotyzmu, w takiej oczywiście postaci, w jakiej jedynie dla szerokiego ogółu rossyjskiego było ono zrozumiałe i dostępne. Z innej rzecz biorąc strony, kto ujawnił właściwości w stosunku do powyżej wymienionych wprost odwrotne, ten, rzecz prosta, uchodził za „niebłagonadzieżnego“, co miało oznaczać: kogoś nie tylko zwierzchności niemiłego i wielce jej niedogodnego, lecz także i z punktu widzenia państwowego więcej niż podejrzanego, kto wie, być może „wewnętrznego wroga“ państwa, podkopującego fundamenty, na których się ono wspiera.

Wyraz „błagonadieżność“ nie ma swego odpowiednika w mowie polskiej, jak pojęcie samo nie ma go w polskich głowach, to też ściśle na język nasz przełożyć się nie da; utartym zwyczajem tłomaczono go pospolicie przez „prawomyślność“.

Otóż jest rzeczą jak Boży dzień jasną, że my „prawicowcy“, którzy — w imię naszego programu Polski narodowej i mocarstwowej zarazem — w sposób zdecydowany i konsekwentny zwalczaliśmy i zwalczamy zgubną dla naszego narodu i państwa politykę „wysokich sfer“ nieodwołalnie w ich oczach uchodzić musimy za wysoce „nieprawomyślnych“: Doskonale sobie z tego zdajemy sprawę i rehabilitować się bynajmniej nie zamierzamy.

Chodzi jednak o to, że od tej „nieprawomyślności“ do antypaństwowego stanowiska w europejskim tych wyrazów rozumieniu droga jest daleka, bardzo nawet daleka, tak daleka jak od „Trzeciego Rzymu“ cara Iwana III do Rzymu Brutusów, Cezarów i Papieży, jak od Byzancjum Konstantynów do stolicy Polski Odrodzonej.

I to jest właśnie okoliczntść, na którą pozwalamy sobie uprzejmie zwrócić uwagę naszych mężów stanu, (bez cudzysłowu i w cudzysłowie), polityków i publicystów, a w prostej konsekwencji również na to, że czas by już wreszcie zacząć myśleć kategorjami politycznemi mniej rosyjsko - byzantyńskiemi a bardziej pokrewnemi duchowi tej cywilizacji, na podłożu której Polska rozwijała się w przeszłości i w przyszłości rozwijać się będzie; że warto by nareszcie zaprzestać kwalifikowania jako „działalności antypaństwowej“ krytycznej oceny samowolnej, wobec Sejmu Konstytucyjnego nielojalnej, a przytem fantastycznej, nieraz jak gdyby jakąś obcą, nie polską, racją stanu kierowanej polityki pewnej wysoko postawionej osoby i otaczającej ją kamarylli, choćby nawet surowość tej oceny dorównywała szkodliwości tej polityki i choćby wyrażoną była w formie dosadnej i ciętej.

Wacław Malinowski.

Życzliwe rady bohaterowi dnia.

W krótkim po sobie czasie dowiadywaliśmy się o czynnem znieważaniu osób niemiłych ludziom, którzy marzą o czemś wielkiem dla siebie bez potrzeby zdobywania do tego koniecznych kwalifikacji. Ma to być obrona czci uwielbianej osoby, która

w ich ustach jest czemś większem, aniżeli cokolwiek historja oglądała na ziemi.

Jakiż skutek tej obrony?

Pozytywnej argumentacji obozu narodowego, która działała na rozum i podkreślała nadużycia pod kątem szkody, jakie one przynosiły państwu, przyszło w sukurs działanie na psychikę mas i to ze strony, z której się nikt tego nie spodziewał, ani ona tego nie miała na celu. Czyż może mieć inny efekt czynne znieważenie, po nieskorzystaniu ze sposobności udowodnienia zarzutów przed sędem, jak tylko ten, że ci ludzie nie mają nic do powiedzenia przeciw, a zostaje im tylko piąstka, piąstka która nie dawno wybijała szyby profesorowi, gdy nie chciał dać „pierwszej" pomimo nieznajomości przedmiotu. Wszak to całkiem studenckie załatwianie porachunków, nie mające nic wspólnego nie tylko z elementarnem poczuciem honoru, kultury czy etyki, ale i z prymitywami rozumu. Bohaterski ten czyn tak przecież przypomina wszelkie „nagodania" profesorowi i tym podobne przewagi, za które młódź wiła swemu towarzyszowi wieńce laurowe po to, by się za lat kilka śmiać z tego wszystkiego i oceniać je rozsądnie, t. zn. jako wybryki niedorozwoju umysłowego, ludzi niezdolnych do wydawania sądu o zjawiskach życiowych.

Ponieważ nasze bohatery chwili przydługo na ławach szkolnych siedziały, miały więc aż nadto sposobności, by się w tym sposobie myślenia utwierdzić zwłaszcza, że z życia społeczeństwa niczego się nie mogli nauczyć, bo w niem nigdy nie byli. Wpojono zaś w nich zasadę, że społeczeństwo to masą, z którą nie potrzeba się liczyć, tylko należy ją „brać krótko za mordę". Potrafili to zgrubsza i na swój sposób zrozumieć, traktując państwo i wszelkie jego funkcje tak, jakby jakie kółko samokształceniowe, promieniarskie czy stowarzyszenie akademickie, załatwiają się ze wszystkiem z iście dziecinną łatwością. Czy wchodzą w rachubę odległości, czy charakter ludności, czy przemysł wojenny, to to wszystko u nich nic. Tego nie uznają, bo z tem w życiu studenckiem nie mogli mieć nic wspólnego. To była drobnostka, im wystarczył orzełek na maciejówce, piosenka żołnierska, o minę jedynych, którzy dobrze pracują dla Polski, u nich nie było trudno. Z żyli się z tem, dobrze im z tem, wygodnie im z tem, bo i „masno i jasno", nie mogą więc patrzeć obojętnie, gdy grozi temu koniec i bronią się przed rugami tak, jak umieją. Przyzwyczajeni zaś czynić wszystko w imię wielkich haseł, np. bić szyby profesorowi z powodu doznanej „krzywdy".

Tak dalej chłopaczki cudowne, tak dalej a prędzej się to skończy, a wy wrócicie do szkoły, zdacie za jakiś czas maturę, a może, a może i... czemś jeszcze zostaniecie.

Życzliwy.

„LADA PISMAK"

Napisał Kazimierz Ehrenberg.

MOTTO.

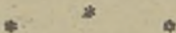
„Kto wie, czy najbardziej nie zabagnił sprawy p. Ehrenberg, który w Petersburgu wysługiwał się narodowej demokracji, a teraz wysługuje się Belwederowi i alarmuje opinję świata, że zbrodnia się stanie, jeśli sprawa nie będzie tak rozwiązana, jak on chce. Pan Ehrenberg powinien się wpierw oczyścić z zarzutów, postawionych mu przez p. Nowaczyńskiego, a potem może mieć prawo głosu".

(Ksiądz Maciejewicz w mowie Sejmowej dnia 16 listopada 1921 r.)

Ksiądz Maciejewicz, który z rozbrajającą naiwnością święcie wierzy w te wszystkie brednie i świństwa, które mu lada świstek i lada pismak endecki do wierzenia podaje, jednemu tylko nie może uwierzyć, aby Naczelnik Państwa istotnie wyrzekał się Ziemi Wileńskiej, i t. d.

(Kurjer Poranny z dnia 17 listopada, artykuł wstępny).

Przeciwko „Nowym Atenom" Nowaczyńskiego zerwała się w swoim czasie burza; mówiono o „ptaku który kala własne gniazdo". Nawet ci, którzy rozumieli potrzebę i znaczenie tej chłosty i przyklaskiwali zdrowemu duchowi tej furji satyrycznej, mieli wrażenie, że te karykatury, jakkolwiek z żywych wzorów zdjęte są przecież cokolwiek przesadzone. Niestety na rzeczywistym teatrze zdarzeń komedja posła Warchoilka, Ekscelencji Szeląga i klubu analfabetów gra się w dalszym ciągu.



Srogie przychodzi płacić koszta za pielgrzymowanie w cieplarni galicyjskiej analfabetyzmu intellektualnego i moralnego „52 procent z dosypką" ogólnej liczby krajowej ludności. „Lud potegą jest i basta", ale dopóty tylko, dopóki gra złoty róg w duszy narodu: ludowi galicyjskiemu „ostał się ino sznur", ciągniony w różne strony przez rząd wiedeński, przez krajową reakcję i przez szelągowe i warcholikowe rycerstwo karjery pieniężnej i politycznej.

(Kurjer Poranny z 18 grudnia Warcholik i Szeląg).

„Patrzcie, cóż my tu poczniem, patrzcież przyjaciele: otóż to jacy stoją na narodu czele" wołał Mickiewicz ukazując nam salon z czasów Królestwa kongresowego i włożył Wysockiemu w usta następującą odpowiedź: Powiedz raczej: na wierzchu zimna i twarda, sucha i plugawa. — Lecz wewnętrznego ognia sto lat nie wyziębi! — Plwajmy na tę skorupę i zstąpmy do głębi. Nowaczyński plwa na tę skorupę a w dziele jego płonie wewnętrzny ogień. Tem smutniej, że „literaci warszawscy". którzy go sądzą, tak bardzo są podobni do tamtych, z przed lat dziewięćdziesięciu...

(Kurjer Poranny Nr. 182 z 2 lipca 1910).

We wszystkich tych spostrzeżeniach; komentarzach, rozmyślaniach i uwagach; i w wielu innych, które ogłasza w swoich „Parergach" Nowaczyński ma postokroć słuszność. Tchnie z nich rozum i silny poryw obywatelskiego czucia.

(Kurjer Poranny z 12 listopada r. 1911 artykuł „Szopenizm i Margrabia").

Nowaczyński psuje nam istotnie pląsy naszej polityki, naszej historjozofji naszej literackiej myśli. Chorzeje myśl na krwawą trzeźwą melancholją miesza nam smutki, łzy, despekty i kontempty w czary perlącego się wina, gryzie nas serdecznie jadowitym zębem, przypomina, że

„może już u podwoi, Śmierć Kuma cicho stoi“. A wołają mu na to różni „sclavi saltantes” — różne pląsające raby: bodaj cię djabli wzięli, pszczuku! wara ci przedstawiać nas jako nobliwą hałastrę targującą się o łapówkę za obronę cudzego tronu, wszak my „apostołowie słonecznego człowieczeństwa, z samowiedzą posłannictwa dziejowego w duszy”. Gdybyś czuł po polsku, to znaczy naturalnie tak jak my, okadzałbyś nas mirrą samochwały, sokolskie piórka wsadzał na czepeczek i do tańca na chochołowych skrzypkach przygrywał.

* * *

Pó przez sceny, w których wybucha płomieniami o rozmaitej sile natężenia humanitaryzm Dymitrowy, przebija się gorąca cześć, miłość dramatopisarza dla tej jedynej idei, godnej być polską ideą, idei prawa i swobody, oświaty, i równości, sprawiedliwości, i miłości.

(Kurjer Poranny Nr. 180, z 30 czerwca r. 1910).

Ale idzie także o to, aby nie obchodzić się źle z pewnym gatunkiem Polakow. Nowaczyński dopuścił się tego grzechu. To też podobnie „jak czwarty literat” z „salonu warszawskiego” „Dziadów” po opowiadaniu (Januszkiewicza) bąkają dziś literaccy recenzenci warszawscy: „że to wcale nie szkodzi, że przedmiot jest nowy: szkoda tylko, że nie jest polski, narodowy — nasz naród się, prostotą, gościnnością chlubi, nasz naród scen okropnych, gwałtownych nie lubi; śpiewać naprzykład wiejskich chłopców zalecanki, trzody, cienie. — Słowianie my lubim sielanki”.

Jak było do przewidzenia, treść i sens świetnej komedji Nowaczyńskiego o „Cyganerji Warszawskiej” zostały przez większość recenzentów warszawskich pojęte tak ciasno i błędnie, tak przedziwnie nieinteligentnie, że gdyby trzeba było roztrzygnąć, czy ważne i pilne postawił sobie zadanie Nowaczyński, przypuszczając raz jeszcze szturm gwałtowny w skorupę naszej zbiorowej psychiki, wystarczyłoby wziąć do ręki wiązankę tych sprawozdań, aby przekonać, jak nikłe i małe postępy umysłowość nasza uczyniła od połowy zeszłego wieku, od czasu: w którym Juljan Klaczko wystąpił przeciwko niej w swoich arcydziełach publicystycznego wysiłku, w rzeczy o „Sztuce polskiej”, o „Gladjatorach Lenartowicza” i o „Katechiźmie nierycerskim”.

(Kurjer Poranny z 14 listopada 1911 r. artykuł: Gorgonuszowej Krytyki).

Polemizować z pisarzem, który w świetnym swoim darze stylu łączy furję Wiktora Hugo z szyderczym dowcipem Bernarda Shaw, nie jest to zadanie ani łatwe, ani wdzięczne.

SPROSTOWANIE.

Notatka p. t. „Portret Dorjana Greya“ w numerze 4-tym została mylnie podpisana nazwiskiem Spectans, wyszła bowiem z pod innego pióra.

Cena pojedyńczego egzemplarza **40 mk.** Prenumerata kwartalnie **mk. 480,** półrocznie 960, rocznie 1920. Zagranicą 2880.

Ceny ogłoszeń: Za wiersz milimetrowy lub jego miejsce na II stronie **mk. 130,** na przedostatniej **100 mk.,** na ostatniej **110 mk.** (3 szpalty).

Konto czekowe w P. K. U. Nr. 3105.

Sp. Akc. Zakł. Graf. „Drukarnia Polska“ Warszawa, Szpitalna 12.